

MICHAŁ WITKOWSKI

FOTO TAPETA

Myszę, że większość ludzi żyje w jakiejś fikcji. „Twarda” rzeczywistość byłaby nie do zniesienia. Żyją w świecie seriali, telenowel, w świecie katalogów mody, a rzeczywistość trzeba „odbębnić”, czyli zarobić, posprzątać i już – nos w fikcję! Za komuny wystarczyło samo wyobrażanie sobie. Dziś kupuje się erzace marzeń, matryce – to, co nazywam „fototapetą”.

Michał Witkowski

MICHAŁ WITKOWSKI

FOTO TAPETA

Wydawnictwo
ab
two

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2006
Wydanie I
Warszawa 2006

Listopad 1999. Ten rok przypomina cenę w supermarkecie. A jeszcze się kończy i szuka właśnie tego grosza, żeby mi wydać, jakbym dotąd nie miał dosyć. Już już mam krzyknąć: nie chcę, proszę sobie darować, choć nikt tu nie zasłużył na napiwek! Ale nie, los nie jest dla mnie przymilnym kelnerem, jest raczej otyłą babą i teraz, zamiast szybko zakończyć uciążliwą transakcję, ta baba guzdra się, zadaje denerwujące pytania w stylu: a nie ma pan może dwudziestu groszy? A ja stoję i nerwowo trzepocę nogą, bo chce mi się sikać i chce mi się już nowego roku, o pięknej, płynnej cyfrze, chcę oddać mu się już bez reszty! Ten listopad to jest okropny okres. Niebo zapchane granatowymi chmurami przypomina płuca gruźlika na rentgenowskiej fotografii. Idę zaświntuszoną śniegiem ulicą w kierunku najbliższego McDonald'sa, żeby się odlać za bezdurno, i ciągnę za sobą kreskę mętnej krwi wyciekającej ze mnie wraz ze smarkami. Pewnie – biorę te wszystkie leki bardziej przeciwko newralgii niż anginie, pijam herbatę malinową. Biorę koenzym Q i kwasy omega 3, łykam zestawy witamin i minerałów, do tego na podniesienie odporności lymphozil i czosnek w kapsułkach. Na odchudzanie L-karnitynę stosuję... Gumy nicorette zamiast papierosów. Że nie wspomnę o nierównej walce z łysieniem i raz po raz napadającym mnie szale na siłownię – wtedy dopiero apteka puchnie od odżywek dla spor-

towców. Leży to wszystko w kuchni w koszyczku, z którym dawniej chodziło się święcić jajka, ale o jajkach, aj! O jajkach i kurach na razie cicho, sza!

Coraz częściej z zazdrością spoglądam na dentystów i elektryków, bez których „w pewnych momentach życia” nie sposób się obejść. Ach, robić coś takiego, aby w życiu innych ludzi nadchodził taki moment, że musieliby wyłożyć kasę i nie mogli się obejść! Być hydraulikiem, strażakiem, mieć gabinet urologiczny. Rzecz w tym, że moje życie trwa, niestety, i nie chce na ten okres zmian wejść w stadium uśpienia, coś jak naciśnięcie guziczka „pause” lub wywieszenie tabliczki „remanent”, choćby i ręcznie wypisanej. „Remanent – pracownię humanistyczną przerabiamy na gabinet urologiczny”, zabolą cię jaja (!) i już nie możesz się obejść; „Remont – magister Witkowski zamienia się w inżyniera Witkowskiego, nie patrzyć, przebieram się!”. Ale dziś tyle lat zdobywa się kwalifikacje, na przykład ten gabinet kosztowałby mnie przerobienie biologii, fizyki i chemii z liceum, plus osiem lat medycyny ze specjalizacją i dwadzieścia lat zbierania na lokal i te wszystkie złote klamki, jakie w takich gabinetach prywatnych lśnią. Bo taki gabinet to jest wyposażony ze splendorem, jak luksusowy burdel, a czego się pan napije, a może w poczekalni pooglądać kolorowe szmatławe jakieś magazyny, a może siusiu zrobić do złotego pisuaru. Tymczasem ile ostatnio przyszło za opowiadanie z „Pisma Literackiego”, nieszmatławego? Osiemdziesiąt złotych!

Najpierw pada deszcz i mnie rozmiękcza, jakbym był zasmarkaną chusteczką ligninową, potem – śnieg zamraża w twarde gówno o poszarpanych kształtach, a na koniec dostaję zapalenia oskrzeli i nie idę do lekarza. Ponieważ zawsze interesowała mnie medycyna, sam umiem się wyleczyć. Dziś rano wszedłem na taboret, wywaliłem

wszystkie przeterminowane węgle z najwyższej szafki i znalazłem tam pozostały po jakiejś starej chorobie duomox 1000, do tego dołożyłem nystatynę i leki wspomagające oraz silny przeciwzapalny lek apo-naproxen. Przy okazji znalazłem zdjęcie mojego brata w wersji dwulatek, obejmującego wielki kalosz. Dziecko jest jakby osmalone, na tle naszych bloków i malucha. Zaraz wylazła mi czerwona pręga na gardle, więc czym prędzej zamiast duomoxu dałem doxycylinę i czopki butapirazol. Albo jestem uczulony, albo ten duomox dawno przekroczył datę przydatności do spożycia. A jeszcze na to wszystko mieszkam na dziesiątym piętrze i właśnie coś pode mną malują, i z wywietrznika, żeby mnie dobić, wylatują na całe mieszkanie rozpuszczalnikowe opary. Łeb mi pęka. Leżę w łóżku i zastanawiam się nad swoją absolutną nieprzydatnością do spożycia przez społeczeństwo z powodu ciężkiego przeterminowania, nad tym, że z nikim spoza humanistyki nie umiem gadać, a potem myślę o hermeneutyce i macam się po jądrze, i właśnie – stąd mi się wziął ten cały gabinet urologiczny.

– Pan pokaże to jądro... – internistka wzdycha, nakłada zieloną gumową rękawicę aż po sam łokieć. Wyciągam to całe jądro z majtek i pokazuję. Wisi dużo niżej niż lewe, jest powiększone, boli, tak jakby rwało, a na dodatek na dole zrobił się najprawdziwszy guz.

Albo być taką lekarką, internistką. Mieć całą szafę rękawiczek, tyle że z gumy. Wytworne jak przed wojną, aż po same łokcie, tylko papierosa w długiej fifce i jakieś retro przeboje. Teraz nie pora szukać wymówek, fakt, że skończyło się, dziś przyszedł inny, bogatszy... Z najpoważniejszą na świecie miną wysłuchiwać takich jak ja poetów. Z najpełniejszym zrozumieniem mówić: „To poważna

sprawa to jądro. Prawdopodobnie nie doleczył pan zapalenia oskrzeli i poprzez krew zapalenie przedostało się do zupełnie innej części ciała, gdzie utworzyło zupełnie nowe, groźne ognisko zapalne. Trzeba podać antybiotyki przenikający głęboko, aż do kości. Dalacin. Jest pan uczulony na dalacin?” Jestem jak najbardziej uczulony na dalacin. Już kiedyś go brałem z powodu spuchnięcia nogi (zapalenie stawu). Noga nie chciała się zmieścić w nogawce, miała szerokość obu nóg razem wziętych i ten dalacin spowodował u mnie taki stan, że wyładowałem w szpitalu pod kroplówką i była brana pod uwagę możliwość śmierci. Mojej. Zresztą miałem rurki w nosie, a jak się ma rurki w nosie, to nawet inni pacjenci chodzą wokół ciebie na palcach i piszą do dyżurki podanie o przeniesienie na inną salę, bo wiadomo, że lada dzień przyjdą agenci pogrzebowi kilku firm walczyć o zlecenie na cały pakiet usług. Z tą spuchniętą nogą, pamiętam jak dziś, pakowałem się po schodach wydziału na egzamin z gramatyki historycznej, bo nie chciałem, żeby mi przepadł. I miałem pretekst, aby – jako „chory” – wychodzić ciągle do kibla, zgapiać, ile wlezie, prastłowiańskie wersje wyrazu „łabędź” i inne takie tam.

Więc być taką lekarką i podśpiewując retro przeboje, odkładać całą swoją seksualność na bok na czas oglądania cudzych jąder, być wypraną z tabu jak biały fartuch i dodatkowo wyprasowaną, robić minę surową, podszytą obowiązkowością i głębokim zrozumieniem, mieć wytatuowane na biuście po łacinie: „NIC, CO LUDZKIE, NIE JEST MI OBCE POZA SPRAWAMI EROTYCZNYMI. PS. Jądro nie kojarzy mi się z niczym poza przekrojem z podręcznika”. W mgnieniu oka robić z tego jądra preparat pływający w formalinie, a nie kawałek faceta, który przede mną siedzi. Na czas oględzin wkładać je do słoika i podpisy-

wać: „Jądro. Wycięte podczas sekcji dnia tego i tego. Guzek wielkości ziarnka grochu. Denat miał raka”. RAKA?!

Raka! Nie napomknęła ani słowa o raku, nie było o tym mowy, to państwowa internistka, powiedziała tylko:

– Zapalenie – pożar w ciele.

I po chwili milczenia:

– Gdyby miał pan bóle głowy, to trzeba będzie wyeliminować padaczkę.

I odwróciła się teatralnym gestem do okna, zastygła zapatrzona w listopad oprawiony w łuszczące się ramy. Tyłem się do mnie odwróciła i stała! A w tym oknie, w tych ramach był kicz jesienny przemyśleniowy, buchał tam liść do szyby przyklejony, zacinął deszcz, odłaziła emalia, wiały wiatry, wschodził i zachodził księżyc spuszcany na sznurku, szła procesja i w ogóle – to było okno młodopolskie, okno teatralno-kiczowate, okno-pułapka na początkującego literata, okno-śmierć literata młodego, okno-konwencja, okno-gigantyczna okładka książki Tokarczuk. To było okno z teatru taniego, ulicznego, objazdowego, tfu!

Mimo tego okna zakład medyczny opuściłem w zupełnie dobrym nastroju, podśpiewywałem sobie wszystkie znane mi niemieckie przedwojenne piosenki, wszystkie te faszystowskie przeboje teatrzyku ogródkowego oraz burleski przeleciałem i dopiero w domu, w kuchni znajduję na stole porzucony przez kogoś z rodziny kolorowy magazyn „Vita”, a że przy jedzeniu ręka odruchowo sięga po cokolwiek, otwieram. Recenzja nowej odżywki Welli, Gołota i jego problemy z żoną, co robić, żeby na liściach kwiatów nie było plam od nikotyny, porady zdrowotne, badaj jądra co pół roku! Jeśli jądro jest cięższe, twardsze lub ziarniste (???), jeśli boli lub nie boli (bo rak

nie boli), ale boleć może, bo z guzka mógł nastąpić już krwotok wewnętrzny! Nawet nie czytam dalej, doczytuję tylko, że to choroba ludzi młodych, pomiędzy dwudziestym a trzydziestym rokiem życia, i że wcześniej wykryta bywa uleczalna. Param, param, pam, pam, pam. Podrywam się do drzwi, wracam do telefonu, porywam książkę telefoniczną, ale nagle siadam, bo dopada mnie ta myśl koszmarna: piątek wieczór. Tymczasem tną ceny w supermarketach, a za oknami liście spadają z drzew. T-shirt 3,50, kilo pomarańczy 2,99. Włączam telewizor, ale mówią akurat o raku jądra, więc już lodówki nie otwieram i na głodnego chcę iść spać, ale zaraz wstaję, bo jak tu tak spać, kiedy się jest najprawdopodobniej skazanym. Innym okiem spoglądam na mój pokój i widok z okna, ale ile można spoglądać znad grobu? Pam, pam, pam. Najwyższy czas, Panie, pożegnać tę planetę. Chodzę po pokoju jak po więziennej celi tam i z powrotem, trzecia w nocy, muzyka wyłączona, bo ostatnio same kasety o raku wychodzą na rynku, nowa moda, miliony na tym raku zbijają siusiary z kolczykami w wargach. Zażyłem wszystkie znane mi antyutleniacze, witaminy C i E, koenzym Q, wypilem litr staropolanki niegazowanej! Ale i papierosa zapaliłem z tych nerwów. Palę papierosa i wdycham głęboko rakotwórcze substancje. W połowie gaszę, myślę o przerzutach na płuca. Ciekawe, czy mi to jądro wytną na sekcji, czy wcześniej? Właśnie! Pierwsze co, to mi wytną i będę miał cienki głos, zero zarostu i piersi. Kastrat! Podobno kastraci dawniej byli prawdziwymi gwiazdami operowymi, cieszyli się ogólnym poszanowaniem, a do tego mieli przywilej strojenia się w kobiece ciuchy i śpiewania damskich ról. Tak więc nareszcie zupełnie się upodobnię do tych humanistów-intelektualistów, co to okulary na pół twarzy, łysina na pół głowy, a tułów węższy

od łba. Dotąd się przed tym broniłem. Nie chciałem być tak do końca inteligentem, w inteligenta nie chciałem się stoczyć, broniłem się przed inteligentem tradycyjnym siłownią, przekleństwami, słuchaniem ostrych rockowych kapel, w chłopaka przed inteligentem uciekałem. Zamknięcie w inteligencie wydawało mi się jakieś takie ograniczające i zupełnie wykluczające tę część mojej osoby, którą nazywam „playboy”. Ale teraz koniec. Taki łyśy będę mówił (w TV): „Proza Nataszy Goerke to literatura, w której uwidaczniają się...” A ludzie w nocy, bo tylko w nocy puszcza się te literackie smęty, będą przerzucali kanały w poszukiwaniu filmów erotycznych, na których ścierać się będą ze sobą te wszystkie narządy tak narażone na raka, te gruczoły rakochłonne, życiodajne i życiozabierające. Albo taka sytuacja: noc, dziesiąte piętro, samotny facet, wyciąga z wideo jednego pornola i wkłada drugiego, a w przerwie włącza się Telewizja Polonia i widzi mnie, kastrata, mówiącego: „Czytelnik czuje się niczym intruz, podgląda bohaterkę, która przegląda się w drugiej kobiecie. Wątki safickie w poezji Marzeny Brody...” I wtedy on szybko karmi wideo kolejną kasetą i już widać prysznic i faceta mydlącego sobie jaja (jakże narażone), wchodzi kobieta opasana ręcznikiem białym frotté. Nakręca sobie włosy na lokówkę, spogląda na te jego jaja bez skojarzeń z rakiem, powoli zjeżdża ręką w dół i wsuwa sobie lokówkę między nogi (a te wszystkie organa – jakże narażone!). Włącza radio, mówi „świetna piosenka” i się uśmiecha, a zaraz potem dodaje „kapitalna stacja”, a facet krzyczy z kabiny „rewelacyjne to radio!”. A potem ona siada na stole i już zupełnie oficjalnie suszy sobie tu i tam, a on zupełnie oficjalnie patrzy na nią przez przezroczyste drzwi prysznicia i mówi: „Wczoraj też nadawali niezłe piosenki”. Albo w starych dekoracjach. Narra-

torka (krynolina – peruka – pieprzyk na piersi) mówi: „I nakrył mnie baron, powiedział, że jeśli mu się nie oddam, powie, co widział, i pójdę do więzienia. Na dźwięk słowa «więzienie»...” A potem znowu widzowie wyjmują kasetę i w przerwie nocny program Telewizji Polonia, a w nim ja, łysy inteligent z brzuchem. No i właśnie stąd marzenia o tym, aby mieć zawód, bez którego nie można się obejść. Bo bez tych moich opinii, za przeproszeniem, literackich wciskanych ludziom w nocy w TV...

Bo oto właśnie teraz, nad ranem, w nocy z piątku na sobotę, dałbym wszystko, aby mieć w rodzinie lub w sąsiedztwie jakiegoś onkologa, który obejrzałby jądro, a potem poklepał mnie po ramieniu i powiedział: Stary, weź się lecz, ale na głowę, to zwykłe zapalenie jaja, rak nie boli i – i tu by dorzucił jeszcze jakąś cechę, której ja nie mam, a która koniecznie musi występować przy raku.

W poniedziałek jądro boli coraz bardziej i jest, co tu ukrywać, zdecydowanie większe, cięższe i – czy mi się tylko zdaje – jakby ziarniste? Wewnątrz czuję jakby szczelinę, jakby miało dojść do podziału na dwie części i ta druga to był ten guz. O siódmej obdzwaniałam wszystkie prywatne kliniki, ale nigdzie jeszcze nikt nie odbiera, a automatyczne sekretarki mówią do mnie męskimi głosami, głosami opanowanymi, bez cienia hysterii, głosami patrzącymi prosto w oczy jasnymi, skupionymi spojrzeniami trzydziestoletnich zdyscyplinowanych mężczyzn, ogolonych, nieźle zarabiających i pracujących na te swoje zarobki wcale ciężko. „Tu gabinety lekarskie. Wybierz tonowo numer lub poczekaj na zgłoszenie się operatora. Gabinet dentystyczny 1, gabinet ginekologiczny 2, gabinet dermatologiczny 3”. „Tu prywatny gabinet onkologii

klinicznej i chirurgii. Rejestracja w czwartki, w godzinach od trzynastej do...” W czwartki! A przecież rak wcześniej wykryty i wycięty bywa uleczalny! Ale jak ma być, kurwa mać, w c z e ś n i e wykryty, skoro we czwartki, i to od trzynastej, a nie w poniedziałki od siódmej! Czuję, jak rak rośnie we mnie, jak jego małe drobinki z linkami i haczykami wybierają się na wycieczkę wysokogórską ku płucom i mózgowi, można powiedzieć „przerzucają się” w inne rejony, ale w końcu ubieram się i jadę do szpitala Dolnośląskiego Centrum Onkologii na ulicę Hirszfelda. Dlaczego te szpitale specjalistyczne, izby przyjęć, ostre dyżury zawsze mieszczą się na ulicach jakichś dziewiętnastowiecznych naukowców w binoklach, pozytywistów, Pasteurów? W dzielnicach zupełnie zakazanych, z przylegającym klasztorem albo kościołem, naprzeciwko cmentarza? Znowu niebo jak płuca gruźlika, śnieg jak apteczna gaza, lignina jakaś jałowiona, wszystko mi się już medycznie kojarzy, medyczne postrzeganie mi się włączyło! Gdy widzę ponure zamczysko z czerwonej cegły, z góry nastawiam się na to, że zostanę odprawiony z kwitkiem z braku skierowania.

– Dzień dobry, ja mam taką sprawę, chciałem się poradzić jakiegoś onkologa, bo mam taki problem, no, tylko ja nie mam skierowania.

– U nas nie trzeba skierowania – rozpromienia się kobieta siedząca w dyżurce.

– Przepraszam, ale ja naprawdę...

– Nigdzie w Polsce nie trzeba skierowania do onkologa, trwa program profilaktyki raka.

Raka! Więc jestem w miejscu, gdzie to słowo jest niczym „znaczek” na poczcie lub „bułka” w piekarni, albo „aspiryna” w aptece.

– To ja bym od razu, jeśli można.